Rok I. Kraków, dnia 15 Czerwca 1883. Nr. 12.

Przedpłata wynosi: dla Publiczności: w miejscu: rocznie . . . złr. 4.50, półrocznie . „ 2.25; z przesyłką pocztową: rocznie złr. 5.—, „ mrk. 9.—, „ fr. 11.—, półrocznie złr. 2.50, „ mrk. 4.50, „ fr. 5.50

PRZYSZŁOŚĆ

Organ poświęcony młodzieży polskiej.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Ul. Św. Anny l. 5. (naprzeciw Coll. Phisicum). Ajencya: u p. Kuklińskiego w hali Sukiennic l. 5. — we Lwowie: w Księgarni Polskiej, plac Halicki. — Numer pojedynczy 20 ct.

Przedpłata wynosi: dla ucz. się młodzieży: w miejscu: rocznie. . . złr. 2.50, półrocznie . „ 1.25; z przesyłką pocztową: rocznie złr. 3.—, „ mrk. 5.30, „ fr. 6.50, półrocznie złr. 1.50, „ mrk. 2.70, „ fr. 3.25

Czas odnowić półroczną prenumeratę!

„*Homo sum, humani nihil a me alienum esse puto*“, tak mawiali starzy, a słowa te upodobawszy sobie pedagogowie, postawili za dewizę tak zwanego „h u m a n i t a r n e g o“ wykształcenia. Zdaje się jednak, że upodobania tego nie inna jest przyczyna, jak że to powiedziano po łacinie. Możnaby zamiast tego przytoczyć: „*Tityre tu patulae recubans sub tegmine fagi*“. Co do treści tak jedno jak drugie równie dobrzeby odpowiadało. To pewna bowiem, że owo „humanitarne“ wykształcenie“, mimo swojej dewizy, „a se alienum esse putat“ wiele, bardzo wiele rzeczy, które wcale od łaciny nie są mniej „humana“.

O tem wieleby się dało powiedzieć.... Kto wie, czybyśmy nawet nie zapytali, czy w humanitarnem prawdziwie wykształceniu nauka języków, a tem bardziej umarłych, nie jest w ogóle rzeczą dopiero drugorzędną? Nasz Supiński niemałą prawdę powiedział, że „przyswajanie sobie mów obcych dla nich samych, jest już przerzuceniem środka na miejsce, gdzie stał cel, jest przeto odsuwaniem się od wspólnego nauk ogniska“. A jednak nasze „humanitarne“ szkoły ten kierunek nauki głównie rozwijają. To też, jeśli w żadnym razie być nie może, aby szkoła średnia dała człowiekowi wyższe, prawdziwie wszechstronne wykształcenie, to niedostateczność szkoły u nas jest już rażącą. Nie dość, że nie wynosimy z gimnazyów ż a d n e g o pojęcia o ekonomii społecznej i o prawie, (a stąd nigdy prawie dla miłości nauki, o której nic nie wie, ale zawsze dla chleba i karyery wstępuje na wydział prawny nowozaciężny akademik): te przedmioty wcale uwzględnione nie są w planie nauk gimnazyalnych. Ale nauki przyrodzone, ale historya? Z zakresu tych nauk wynosimy fakta luźne, nieoświecone żadną myślą niezwiązane w żadną całość, fakta, których ważności wcale dostrzedz nie potrafimy, które nas więc nie wiele obchodzą. To też jeśli po nich jakiekolwiek zostaje wspomnienie, to wspomnienie wstrętu i nudy, związane z gablotkami mineralogicznymi, albo powstające na myśl o napełnianiu się bezmyślnem czczą mieszaniną nazwisk ludzi, miejscowości i dat, które to ćwiczenie podobne zupełnie do wprawiania się w wymawianie „chrząszcz brzmi w trzcinie“ nazywa się „matką nauk“, historyą. Są szczęśliwsi, którzy natrafiwszy na zdolnego profesora, coś więcej ponad to ze szkoły wynieśli, — ale większość nie wie dobrze, jaka jest różnica między pierwszym wiekiem ery chrześcijańskiej a wiekiem jej XVIIItym, chyba że dawniej ludzie bez koszul, a później nawet w pludrach chodzili. Historya cywilizacyi? dzieje myśli ludzkiej? to rzecz traktowana w podręcznikach w przypiskach, drukiem petitowym, a przez profesora zbywana zazwyczaj milczeniem. Dziwna rzecz, że wobec takiego ograniczania wykładu, zawsze jeszcze czasu zabraknie dla doprowadzenia wątku dziejów poza rewolucyę francuską. W rezultacie więc, historya nie związana ani myślą, ani chronologią nawet i wypadkami z chwilą obecną, pozostaje umiejętnością umarłą.

Z nauk przyrodzonych najobszerniej traktowaną jest fizyka. Być może, że znajdzie się rzadki uczeń, co przez pół roku jeszcze po maturze ten i ów wzór fizyczny pamięta, albo przechowuje jeszcze lisi ogon „od elektryki“, — ale konia z rzędem temu, kto wynajdzie takiego, coby coś wiedział o zasadzie zachowania siły. Inne przyrodnicze nauki nie znajdują nawet uwzględnienia przy maturze, i słusznie, bo nieludzkoby było obciążać i nimi jeszcze pamięć ucznia. Toż nic tylko pamięć tu potrzebna, do wyliczania nazwisk, liczby słupków, pręcików, składu chemicznego (nb. gdy się chemii nie zna) etc. Rzeczy, które się nie zapominają, biologia w ogóle, na drugim planie.

Wobec tych niedostatków nauki gimnazyalnej, niedostatków, które nikomu tajne nie są, wykształcenie odebrane w szkołach średnich podobne jest do gimnazyalnej książki, podartej, popisanej na wszystkie strony, zdającej się nosić znamiona niesłychanej pracy na sobie, podczas gdy nosi tylko znamiona nudy, a która postacią odstrasza, wewnątrz jest nieczytelna, a podarte jej luźne kartki do niczego już służyć nie mogą. Wykształcenie takie bynajmniej nie jest „humanitarnem“. Humanitarnem nazwalibyśmy wykształcenie, które cały świat myśli ludzkiej człowiekowi stawia otworem. Uniwersalnym być nie można, to prawda, i nie to też jest celem takiego wykształcenia, — ale można zapoznać się z w y n i k a m i nauk, można zrozumieć drogę, którą myśl ludzka idzie i uczuć się we wspólności z tym wielkim pochodem; można się uczuć częścią całości, człowiekiem. „Homo sum, humani nihil a me alienum esse puto“.

Jakie są z tego szczególne pożytki, o ile to jest rzeczą nietylko pożądaną, ale dziś niezbędną, spróbujemy omówić dokładniej na innem miejscu (*). W tej chwili chcieliśmy to powiedzieć: c z e g o n a m s z k o ł a n i e d a, m u s i m y z d o b y ć s o b i e s a m i, — a naprzód musimy sprawę samokształcenia się jasno sobie przedstawić i przystąpić do dzieła z planem wytkniętym, ze świadomością środków.

Kształcenie się ma trzy kierunki: fizyczny, moralny i umysłowy. Obecnie mówimy o tym ostatnim. Źródłami jego są: przyroda, obcowanie z ludźmi i książka. Przyroda leży otworem przed nami, ale trzeba się nauczyć

(*) W artykule p. t. „Pogadanka“, w jednym z następnych numerów.

patrzeć na nią, obcowanie z ludźmi wyrabia przekonania w starciu się zdań, ale jeśli chodzi o wykształcenie wszechstronne, które obejmować może tylko ostatnie wyniki nauk, książka jest źródłem pierwszorzędnem. Ona to zamyka kapitał wiedzy uzbierany przez ludzi i wieki; pomnażanie go w jakimkolwiek kierunku należy przedewszystkiem do pracowników w poszczególnych zawodach, używanie należy do wszystkich. Otóż pierwszym warunkiem samokształcenia się umysłowego jest możność zoryentowania się w naukowej literaturze, i — jeśli to wykształcenie ma być wszechstronnem — obranie metody prowadzącej najkrótszą drogą na to stanowisko, z którego wiedzę jako jednolitą całość okiem ogarnąć można. Pierwszy warunek dopełni wybór dzieł, drugi uporządkowanie lektury. Bez tych danych długo trzeba macać naokoło siebie, nim się drogę wynajdzie, a pomijając już stratę czasu i niepotrzebne trwonienie sił, bez nich umysły, nie posiadające daru uogólniania i łatwo grzęznące w szczegółach, rzadko tylko chyba dochodzą do celu. Brak tych danych najbardziej czuć się daje każdemu, kto bez pomocy szkoły kształcić się pragnie. A jeśli nawet ma po za sobą szkolną naukę, brak tych danych nieraz dotkliwie czuć się daje, ile że nasze szkolne (w szkołach „humanitarnych" używane) podręczniki, nie zawierają niestety żadnych bibliograficznych zapisek.

Tym to niedostatkom pragnąc zaradzić, zastanowimy się nad tą sprawą w następnych numerach naszego pisma. Naturalnym podziałem przedmiotu będzie 1. podanie metodycznych wskazówek, 2. zoryentowanie się w literaturze naukowej, a względnie złożenie dla każdej gałęzi wiedzy wszystkim (i nie specyalistom) dostępnych, a dzisiejszemu stanowisku nauki odpowiadających „biblioteczek".

Karol Marx.

(Ciąg dalszy).

V. Wzrost produkcyjności pracy.

Ciągła konkurencya kapitalistów, dążących do coraz tańszego wytwarzania, podnosi ustawicznie produkcyjność pracy; może więc przez to poprawi się los robotnika? Nie! Wzrost produkcyjny pracy znaczy, że praca jednego dnia wyrabia co raz więcej produktów — przez to zmniejsza się ilość pracy, potrzebna do zrobienia pewnego towaru. A więc wartość zamienna towaru zmniejszy się. Siła robocza, która jest towarem, ulega tym samym prawom. O wartości siły roboczej orzeka ilość środków niezbędnych do utrzymania. Gdy więc wskutek wzrostu produkcyi spadnie ilość pracy potrzebna do wytworzenia środków niezbędnych do utrzymania (czyli ich wartość zamienna), to spaść musi także wartość zamienna siły roboczej.

To znaczy, że w linii *a — b — c* część *ab* (czas konieczny do wytworzenia koniecznych środków utrzymania) zmniejszyła się, a jeżeli *ab* się skróciło, to *bc* przy niezmiennem *ac*, wzrośnie — wzrośnie stopa nadwartości. Jedynym więc skutkiem postępu produkcyi jest spadek stopy zarobku a wzrost zysku kapitalisty. Dawniej na 11 godzin pracy zabierał robotnik 6 godzin, kapitalista 5. Dziś wydatniejsza praca w 3 godzinach wytworzy wartość środków utrzymania robotnika — a pozostałe 8 należą całkowicie do kapitalisty.

Potrzeba koniecznie aby wzrost produkcyjności pracy odnosił się do tych gałęzi produkcyi, które tworzą środki utrzymania robotnika, bo tylko przez to te środki stanieją. Kapitaliści i robotnicy doskonale to zjawisko rozumieją, że wszystko co zmienia wartość zamienną środków utrzymania, obniża zarazem płacę a podnosi zysk. Tłomaczy nam to nie jedno zdarzenie historyi. Mamy n. p. wielki ruch kapitalistów angielskich (Whigów) wymierzony w celu zniesienia praw, ograniczających import obcego zboża do Anglii, podnoszących wskutek tego cenę zboża i żywności, a więc i płacę robotnika. Ruch ten chciał po prostu przez stanienie żywności uzyskać spadek płacy roboczej a wzrost zysku. To też powiada Marx, że Bright i Cobden formalnie wytargowali od posłów robotniczych głosowanie za owymi ustawami — przez obietnicę wprowadzenia praw fabrycznych. (Swoją drogą obietnicę potem złamali).

Wzrost więc produkcyjności pracy stoi na równi z każdym innym faktem, który zmniejsza wartość koniecznych środków utrzymania, a przez to płacę obniża. Tu szukać należy źródła zmian jakości środków do życia u robotników. Żyto zamiast pszenicy, kartofle zamiast zboża, zupełne wyparcie mięsa przez roślinne pokarmy. A jakie to ma znaczenie, niech odpowiada fizyologia. Wzrost produkcyjności pracy niesie korzyści kapitalistom, robotnika pogrąża w nędzy. Tu nędza razi jeszcze jaskrawiej przez szalony kontrast ze zbytkiem kapitalistów i demoralizacyą. Coraz więcej pracy społecznej idzie na zaspakajanie wymyślnych potrzeb i dozwala bogatym powiększać ilość sług, domowników, których praca ma na celu nieprodukcyjne starania o wygody wybranych.

W Anglii i Walii było służących obojga płci 1.208.000 — w rolnictwie zaś właściwem zatrudnionych tylko 1.098.000. Tak więc marnieje prawie zupełnie praca 1,208 000 osób zdolnych do pracy — praca, która przy lepszym podziale dochodu społecznego mogłaby korzystnie być użytą, a potrzeb nie brak! Rozwija się współrzędnie ogromny zbytek, który na swe błahe cele pochłania pracę milionów: 1,025,000 osób zatrudniają angielskie fabryki kapeluszy damskich, kołnierzy, rękawiczek, krawatów, ubiorów zbytkownych. (Wprawdzie Marx w tym wykazie nie uwzględnia produkcyi dla wywozu). Wreszcie dalszym skutkiem tego wzrostu nadwartości jest zwiększona i przyśpieszona akkumulacya kapitału, a skutki tego objawiają się jako:

VI. Rezerwowa armia przemysłowa i relatywne przeludnienie. Marx stara się dowieść, że sam sposób, w jaki przy kapitalizmie rośnie produkcyjność pracy, musi koniecznie pogarszać położenie robotnika. Kapitał dzieli on na stały i zmienny. Wzrost produkcyjności pracy dzieje się przez wzrost stosunkowy kapitału stałego a przedewszystkiem przez wprowadzenie maszyn. (Maszyny należą do kapitału stałego — objaśnienie zresztą co do kapitału stałego i zmiennego było powyżej podane). Maszyna szkodzi robotnikowi podwójnie. a) Występuje odrazu jako konkurentka robotnika, bo przez zaoszczędzenie pracy robi odrazu pewną ilość robotników niepotrzebną — maszyna odrazu ruguje część robotników

z fabryki. Przez to powstaje pierwszy zaród rezerwowéj armii: tworzy się zastęp pozbawionych zajęcia robotników, gotowych za bezcen, pod najgorszymi warunkami pracować. b) Kapitał fabryczny dzieli się na stały i zmienny — stały — to maszyny i koszta materyału, zmienny — to płaca robotników. Postęp produkcyi dzieje się głównie przez maszyny — maszynowa produkcya domaga się nakładów wielkich na zabudowania, a przedewszystkiem woła o materyał surowy, który pod opieką niewielu robotników szybko przerabia na towary. Kapitalista potrzebuje więc jak najwięcej kapitału stałego; jeżeli jego ogólny kapitał nie wzrośnie, to kapitał stały może on zwiększyć w jeden tylko sposób: przez zmniejszenie kapitału zmiennego — kapitału, którym opłacał robotników. — Tak więc kapitalista X. wprowadziwszy maszyny, nie tylko n i e p o t r z e b u j e znacznéj ilości robotników utrzymywać, ale nawet nie może — bo nie ma na to kapitału. — Choćby mu nawet przez taniość maszyn etc. pozostało po wprowadzeniu maszyn więcej kapitału zmiennego, niż go potrzebuje na utrzymanie robotników, którzy mu przy nowym systemie produkcyi są niezbędni w fabryce, to zbędną resztą nie może wprost utrzymywać nowych robotników. Musiałby albo rozszerzyć fabrykę, albo założyć nową — a przez to uwięzić część tej reszty jako kapitał stały w maszynach nowych i budowlach, a dopiero zbywającą resztę dawniej reszty użyć dla opłacenia robotników. — W żadnym razie u tego fabrykanta X. po wprowadzeniu maszyn wszyscy robotnicy dawniejsi zatrudnienia nie mogą znaleść — a tylko część większa lub mniejsza — bo kapitał zmienny zmniejszył się. — Wprawdzie — mówi Marx — możnaby zarzucić, że jeżeli nawet nasz kapitalista X. część kapitału zmiennego użyje na kupno maszyn, budowli etc. materyały tych maszyn, budowli etc. muszą być jednak wyprodukowane przez robotników, że więc kapitał nasz pośrednio zatrudnia robotników, może nie własnych tego X. ale innych. — Poprostu powiedziawszy, maszyny, które rugują robotników, muszą być przez innych robotników zrobione — a więc kapitał stały wydany na kupno maszyn idzie na opłatę twórców tych maszyn — jest przeto zmiennym zarazem. — Tu jednak odpowiada Marx: c) Maszyny, budowle etc. produkują się nie tylko przez robotników ale i przez maszyny, a więc wracamy znowu do tego, że w samym wytworzeniu maszyn, budowli, materyałów, praca ludzka zastępuje się maszynami. Trudno przypuścić aby wszyscy robotnicy, wyparci przez maszyny z fabryki kapitalisty X, znaleźli zatrudnienie w fabrykach maszyn etc. *).

d) W każdym razie z kapitału zmiennego, użytego na zakupno maszyn przez naszego kapitalistę, nie dostanie się całość w ręce robotników fabryk, maszyn, ale część ugrzęźnie u właścicieli tych odnośnych fabryk jako ich zysk.

e) Dotychczas kapitalista swym kapitałem zmiennym zatrudniał robotników i ten kapitał z wartości produktów wytworzonych ciągle nazad otrzymywał; po sprzedaniu towarów te pieniądze może znowu wciągnąć w produkcyę a więc użyć na opłatę robotników. W ten sposób mógł parę razy na rok obrócić swym kapitałem — Teraz ten kapitał zmienił się (choćby częściowo) na stały. Musi ten kapitał stały (budowle, maszyny) być wytworzony, ale potem może sobie całe lata stać, nie wymagając pracy (prócz mało ważnych naprawek w razie uszkodzenia); kapitał więc zmienny ustawicznie się odtwarza, dając ustawiczne zajęcie robotnikom, maszyna jednorazowo się wyrabia i już nie daje zajęcia robotnikom więcej — z tego wszystkiego pokazuje się — decyduje Marx, że przez postęp produkcyi zmniejsza się ilość robotników zatrudnionych a więc mogących się utrzymać, a rośnie liczba pozbawionych zajęcia. Nowa maszyna prawidłowo wypiera robotnika z dotychczasowego zatrudnienia, robi go niepotrzebnym t. j. ze stanowiska, jak mówi Marx, *des „Verwerthungsbedürfnisses“* kapitału. — Robotnicy bez zajęcia przepełniają targ roboczy i wskutek konkurencyi obniżają płacę innych robotników. Wskutek nadmiernej sprzedaży kapitalista staje się coraz mniej zależnym od swych robotników, bo lada chwila w razie jakichbądź żądań może ich odpędzić i wziąć nowych z ulicy. W tym samym czasie, kiedy setki ludzi tułają się bez zajęcia, kapitalista korzysta ze zwrotu swej władzy jaką zyskuje nad robotnikami pracującymi w jego fabryce, zmusza ich do pracy dłuższej niż dotychczasowa. W owym czasie niskiej płacy robotnik oddaje najwięcej poszukiwaną, bo najtańszą pracę t. j. pracę swej żony i swych dzieci.

Gdyby maszyny nowe wynajdowano i stósowano co lat sto, wówczas rany zadane przez nie robotnikom mogłyby się zabliźnić. Ale nowoczesna produkcya nie zostawia im tyle czasu. Dzieje się to wskutek szczególnego biegu nowożytnej produkcyi. Bieg ów polega na tem, że produkcya przebiega mniej więcej w 12 do 15 latach pewne powtarzające się regularnie stadya (cykl przemysłowy) — stadya te są: stagnacya produkcyi, ożywienie się, rozkwit, potem gwałtowne przesilenie (kryzys), i znów stagnacya trwająca nieraz lat kilka, poczem cykl na nowo się rozpoczyna. (C. d. n.)

*) Punkt ten zresztą nie został jeszcze przez Marxa dostatecznie wyłuszczony; obiecuje on bliższe wyjaśnienie w tomie II. Podobno Engels ma zrobić pośmiertne wydanie drugiego tomu dzieła Marxa.

Z PAMIĘTNIKA.

(Przekład z rosyjskiego).

...... Listopada 18.... r.

Czym się też nie pomylił, wybierając zawód powieściopisarza? Czy mam talent? Ale cóż mnie tak namiętnie ciągnęło do tego zawodu, jeśli nie talent, nie powołanie? Nie ma dla mnie droższego zawodu i nie dlatego, żebym żądał sławy, popularności, o nie! Ja nic, nic z tego nie pragnę! Poprostu rozkoszuję się, kąpię się w falach jakiejś nieokreślonej błogości, kiedy piszę moje prace, — żyję z moimi bohaterami, — otaczają mnie oni tłumnie jak żywi, wspólnie z nimi czuję, cieszę się, cierpię i płaczę! O kto nie zaznał téj rozkoszy, ten nie jest zdolny jej pojąć. A dalej, myśl ta, że w tysiące umysłów przeniknie to samo światło, które przyświecało mojej duszy, kiedym pisał, myśl ta, że przeczytawszy słowa, nad którymi nie spałem i przepłakałem noce całe, tysiące serc młodych, gorących, pragnących prawdy i światła, uderzy mocniej, nauczy się silniej kochać i nienawidzieć, być uczciwymi, żyć prawdą, pracować dla drugich... Co za rozkosz pomyśleć, że ciebie — obcego, nieznanego nikomu — kochają! O, to nie żądza sławy, — nigdy nie podpisy-

wałem się własnem nazwiskiem, — to żądza miłości, miłości ludzi, których nigdy nie poznam i którzy mnie nigdy nie poznają. Zresztą — ja znam ich! Niedokładnie się wyraziłem: stają oni przedemną tak, jak i bohaterowie moich powieści! A czasem zdaje mi się nawet, że moi czytelnicy i bohaterowie moich powieści to jedno i to samo. Tak! Dziwne to, a jednak prawdziwe. Mój czytelnik raptem zjawia się w mojej powieści, potem wyrywa się z niej i staje się znów czytelnikiem. Sam siebie czyta... Jakoś to bez sensu! Sam siebie czyta? Jakże to? Może i sam siebie pisze? Nie wiem. Ot patrzajcie: rozumna, zamyślona, długowłosa głowa studenta pochyliła się nad moją książką, przy bladem migotaniu groszowej świecy, w biednej izdebce piątego piętra; a izdebkę tę widzę wyraźnie i stół niepokaźny z porozrzucanymi książkami, z rozsypanym tytoniem, na który oparł się łokciami, ściskając palącą głowę. Widzę i to żelazne łóżko w kącie z pożółkłymi poszewkami na poduszkach, z wypełzłą, rudą, niegdyś szarą wojłokową kołdrą... Cóż on? Mój bohater czy mój czytelnik? Jakaś plątanina!

Ot jeszcze czytelnik, a właściwiej czytelniczka... Tę szczególnie lubię!... Kiedy ją widzę, serce moje szczególnie zamiera. Mnie nikt nigdy nie kochał należycie, prawdziwie; a jeśli kochali — to... o jaka marna i powszednia była ta miłość! Życie wszystko obmierzi, najwznioślejsze uczucia! Wpatrzy się człowiek, to nie widzą już w nim iskry Bożej, którą pierwej widzieli. Kobiety szczególnie są zdolne nie widzieć tej iskry w bliskich osobach. Nawet — dobre kobiety. Żeby dojrzały tę iskrę, trzeba stać od nich zdaleka — na piedestale. Zszedłeś z piedestału, przystąpiłeś do niej bliżej, a ona cię dręczy za to, że pierwej widziała w tobie Boga, a teraz widzi tylko człowieka. I zadepcze cię za to w błoto, w najstraszniejsze błoto. Nie taką moja czytelniczka! Staję przed nią nie jak potargany niechluj, i nie jako Bóg, ale jako człowiek taki, jakim w samej rzeczy jestem.

Przed nią nie ma mojej grubej, niełądnej, wymęczonej cielesnej powierzchowności, tylko moje marzenia, moje myśli, bezsenne noce, bezgraniczne porywy mojej namiętnej miłości i tęsknoty. O, widzę jak i ją ogarniają, widzę jak coraz silniej podnosi się jej młoda pierś, jak w jej dziwnych oczach skrzą się łezki, jak różowe palące usta szepczą:

„O, jaki on musi być poczciwy!“

Tak moje dziecko, nie mylisz się; bardzom poczciwy, tylko bardzo nieszczęśliwy! Kochaj mnie, kochaj choć tyle, że kiedy będziesz szczęśliwą, kiedy oddasz i twoje serce i twoje życie temu, którego z całego świata wybierzesz, — wspomnij i o mnie, wspomnij, że jest jeden bardzo nieszczęśliwy, bardzo, bardzo, — który nigdy nie widział pełnego szczęścia i prawdziwego życia, i ten nieszczęśliwy, nie znając cię, kocha cię namiętnie, szalenie i nigdy cię nie zobaczy, nigdy nie usłyszy od ciebie tego, co może usłyszeć każdy inny porządny człowiek, którego wybierzesz. ...

O, jak ja cię kocham, moje drogie nieznane, dziecię moich dum, mego chorego znękanego serca! Gdzie ty? Nie wiem. Czasem cię widzę gdzieś daleko — daleko. W zamglonej wsi, w ponurym dworze, śród pańskiego otoczenia i lenistwa przesyciłaś się tém życiem, rwiesz się gdzieś daleko, ale sama jeszcze nie wiesz dokąd, i co to cię tak męczy i pali i kamieniem cięży na sercu, i wyciska bez przyczyny łzy z oczów, kiedy spoglądasz zimą na bezbrzeżne pole śnieżyste z ciemnymi chmurami unoszących się wysoko wron, lub wiosną, kiedy popłyną strumyki, odmarznie rzeka, zjawią się pierwsze pączki, ranny skowronek gdzieś wysoko, wysoko się odezwie na błękicie jasnego nieba a powietrze, ogrzane złotymi promieniami słońca, samo ciśnie się do piersi.

Czasem wydajesz mi się inaczej. Kiedy idę ulicami w pochmurny dzień, albo późną nocą, deszcz tnie po twarzy, a gęsta mgła zamiast powietrza do płuc się tłoczy, widzę cię tam w górnych piętrach domów, gdzie słabo migocą drobniutkie okna, oświetlone twoją maleńką lampą. Tam, w tych nieznanych izdebkach mieszkasz; ty, czysta, szlachetna, z młodzieńczymi marzeniami, z młodem pragnieniem wielkiej szlachetnej pracy, z pragnieniem szerokiej społecznej miłości, z chmarą pytań, tłumnie unoszących się nad twoją młodzieńczą głową... O jakże ja cię kocham! Czy ty w samej rzeczy istniejesz, tam gdzieś, czy cię całkiem nie ma nigdzie, oprócz moich dum bezsennych? O, ja wierzę, że istniejesz! Inaczej nie warto byłoby żyć na świecie, nie warto byłoby tak cierpieć, jak ja cierpię!

Wciąż i wciąż stają przedemną moi bohaterowie — czytelnicy: ot — nauczycielka wiejska w oddalonej, pustej wioszczynie, zasypanej śniegiem. Chłodno i wilgotno w jej izdebce. Czad odurza i łamie jej głowę. Naokół — dzikość, pustota, ni słowa żywego, ni ludzkiego współczucia... Nędza tylko, straszna nędza dokoła, rwąca serce na kawałki. A za tą nędzą idą jej dzieci: pijaństwo, ciemnota, brutalność, zwierzęcość. I pośród tego fizycznego i moralnego zmroku, w długą bez zorzy noc zimową, błyszczy jeden tylko jej płomyk; biedny słaby płomyk! Chce zwalczyć ciemności, wiekowe ciemności, a ledwie migoce, a wicher burzliwymi wybuchami wpada przez stłuczone okno i chce go zgasić, — blade kobiece ręce zasłaniają go od wiatru.... Kto zwycięży: te biedne ręce, maleńkie, osłabione głodem, wyschłe ze szczętem, z nabrzękłymi błękitnymi żyłkami, czy te ciemne noce z ich burzami, rwącymi się przez stłuczone okno? Kaszle. Piersi bolą. Ból w piersiach i głowie nie daje zasnąć do świtu. Dawnoby wszystko rzuciła: i tę szkołę, i blade białowłose proste wiejskie dzieci, które jutro tłumno przybiegną do niej.... O tak, odeszłaby, zamieniłaby tę mękę wielkiej kolosalnej pracy, tę pewną śmierć w tej żywej mogile — na inną przyszłość... Ale na jaką? Dokąd się uda biedna samotna? Pójdzie za mąż za urzędnika? Lub na żeńskie kursa? Na telegrafistkę? na siostrę miłosierdzia? Ale i na to potrzebne środki. I tu wszystko przepełnione. Dokądże więc, dokąd?! „Umrzeć? myśli sobie, umrzeć prędzej! Odrazu! Zawsze lepiej“. Oczy jej padły na jakąś książkę, leżącą na stole. Zaciekawił ją tytuł, ale odepchnęła książkę tak, iż ta spadła na podłogę.

„Blagierzy! Gdybyście pobyli na mojem miejscu! O, nienawidzę was! Naco, naco natchnęliście mnie dążeniem do szlachetniejszego życia, do służenia społeczeństwu, kiedy otoczenie nie przygotowało dla takiego życia, dla takiego służenia żadnego fundamentu żadnych warunków! O, Boże, Boże! Ratuj mnie! Gotowam się narazić na wszystko, na wszystko najstraszniejsze, byle nie żyć tak, dnie za dniami, lata za latami! — Śmierci upragniona, droga, przyjdź do mnie, zabierz!“

Zasłoniła twarz rękami, padła na łóżko i szlocha. Raptem coś jej się przypomniało. Jak gdyby promienie światła zstąpiły do duszy. Jakieś znane dźwięki,

obrazy, słowa brzmiały jak muzyka w duszy, odezwały się w sercu. Przypomina sobie coraz jaśniej, jaśniej Mniej już czuje ból w piersi i w głowie. Niewidomy głos mówi jej: „Życie to cierpienie. Patrzaj, patrzaj, któż szczęśliwy dokoła? Czyż nie tysiąc razy nieszczęśliwsi od ciebie ci mniejsi bracia, żyjący obok? Nie bój się śmierci: przecież ona i bez tego jest udziałem wszystkich. Czy umrzesz z nadmiaru pracy w wilgotnej, zadusznej izbie, czy umrzesz śród błyszczącego otoczenia, przy blasku bronzu i jedwabiu w przepełnionym pachnidłami budoarze.... wszystko jedno — śmierć cię nie minie. Wszędzie cierpienia, wszędzie łzy się leją, tylko leją się z różnych przyczyn: wskaż mi szczęśliwego człowieka na tym świecie mąk i cierpień? Gdzież on? Ja ci powiem, gdzie on. — Tyś to sama, ty umierająca na straży tego drobnego płomyka, który walczy z ciemnościami nocy. Nie bój się tego, że tak słaby ten płomyk, a tak silna burza i ciemności. Nie bój się tego, że skonasz ochraniając go i twoje wątłe ręce opadną wpierw, nim ten płomyk zdoła ciemności rozprószyć. O, tak, nie prędko je rozprószy! Praca dopiero rozpoczęta. Ale się nie zrażaj. Umrzesz ty, przyjdzie druga i znów rozpali ten płomyk, i znów będzie go ochraniać, póki nie umrze, i zastąpią ją już dziesiątki innych i rozpalą dziesiątki płomyków, i lżej już im będzie, bo ich będzie wiele. Ty nie zobaczysz tego czasu, kiedy lżej będzie, o tak! Ale przecież nie zobaczysz i wtedy, kiedy porzucisz ten płomyk i pójdziesz inną drogą. Zrozum, że jeśli ty go porzucisz, porzucą go i wszyscy, bo ty, to — wszyscy. I któż go będzie podtrzymywał? Nikt. I któż wtedy ujrzy ten czas, kiedy lżej będzie? Nikt. Teraz nie zobaczysz tego czasu tylko ty jedna, ale zobaczą go wszyscy, zobaczy lud twój drogi i kochany.... Jeśli ty odejdziesz, to nikt nie zobaczy; czyś zrozumiała? Czyś zrozumiała, że tryumf światła buduje się na zatraconych żywotach: nie na jednym, nie na dziesiątkach, setkach, ale milionach żywotów. Jest to — prawo nierozwiniętego, młodzieńczego społeczeństwa. Czegóż się boisz umrzeć? Czyś pierwej o tem nie wiedziała? Wiedziałaś! Aleś zapomniała. Męki twoje silniejsze od wiedzy. Pragnienie życia silniejsze od ofiarnej miłości. Ależ życia nie ma, pojmij to, nie ma dla nikogo. Żeby się życie poczęło, trzeba je wywalczyć. Zrozum to i pogódź się z myślą, że dla ciebie osobiście nie ma również życia — szukaj go dla innych. Wtedy, o przysięgam ci, wtedy raptem uczujesz, że żyjesz, ponieważ żyć, żyć w zupełności, to znaczy.... Czy wiesz co to znaczy? Myślałaś kiedy nad tem co to jest szczęście? Szczęście przemienia się w niedolę, kiedy oczekujesz większego szczęścia, a otrzymasz mniejsze. I naodwrót, niedola staje się szczęściem, jeśliś się spodziewała większej niedoli. Patrzaj, oto człowieka skazali na ucięcie nogi a on czekał pewnej śmierci. Patrzaj jaki on szczęśliwy, że mu nogę ucięli. Zrozumże: przecież on szczęśliwy swojem nieszczęściem, szczęśliwy swoją niedolą. Również i ty staniesz się raptem szczęśliwą z tego, że umrzesz nie darmo, jakeś pierwej myślała, ale umrzesz przynosząc ludziom lepsze życie. Nieszczęście staje się szczęściem, kiedy się oczekiwało czegoś gorszego. W naszem biednem życiu takie tylko szczęście możebne. Nie czekaj więc na inne, nie czekaj, żeby nie stracić i tego, które możesz posiadać...“

Słuchała cudnego tego głosu i znów podniosła się ze swej biednej pościeli, i znów zasłoniła światło drżącymi bladymi rękami.... Ale ręce raptem zadrżały, wyprężyły się silniej.... Upadły na stół.... I światło zgasło.... Była martwą....

GŁOS WOLNY.

„Choćby cię smażono w smole, nie powiadaj co się dzieje w szkole“ — mówi stare zdanie. Jest to maxyma, zawierająca w istocie praktyczną filozofię życia i stąd bylibyśmy pochopni do twierdzenia, że ją wynalazł jaki profesor filozofii, gdybyśmy nie mieli pewnych podstaw do mniemania, że mogła ona być wymyśloną także przez docentów innego, pokrewnego fachu. Jakkolwiekbądź, trzymając się tej maxymy, postanowiliśmy nic nie mówić o tem, co się stało niedawno temu w Collegium, rozsiadłem na łonie wiadomego „aptekarskiego ogródka“. Z jednej strony mogłoby to być komuś nieprzyjemnem, a z drugiej pomnożyłoby niewątpliwie podejrzenia, że „Przyszłość“ jest pismem socyalistycznem.

„Czas“ pierwszy, jako pismo sumienne, a niewątpliwie dobrze, bo zawsze ze stron najbliżej interesowanych poinformowane, nie omieszkałby wyprowadzić stąd „logicznych“ konkluzyj. Pojawiłby się n. p. taki artykulik: „Dynamit!“ okropne słowo! Pierwsza jego zgłoska grzmi jak piorun, druga wtórzy jej jękiem echowym, obie razem przypominają „dyniową“ okrągłość bomby, a trzecia zdaje się złowrogo szeptać: śmierć przyjdzie, i weźmie cię „mit“. Mamy niezawodne poszlaki, że wielką ilość tego wybuchowego materyału, (nb. jeżeli to nie jest stokroć jeszcze okropniejszy „panklastyk“) przywieziono do naszego grodu. Biada! moralność to dziś czcze słowo, monarchia w posadach wstrząśnięta, chrześciaństwo zagrożone. Smutny spełniamy obowiązek, ale sumienie każe nam nie odwracać od siebie tego kielicha goryczy: wskażemy więc palcem na to gniazdo przewrotu. Nie dlatego zaiste, abyśmy się tu mieli powodować jakąś prywatą, broń Boże! insynuacye podobne z pogardą odrzucamy, ale że wyższy wzgląd...“ i t. d.

Otóż jeżeli dla tych powodów postanowiliśmy nic o zaszłym wypadku nie mówić, nie przeszkodzi nam to jednak zanotować kilka z tego powodu nastręczających się kwestyj, które chcemy traktować zupełnie in abstracto.

Ojcowie, kiedy chcieli napiętnować czyjąś grubą nieczułość na piękno, mawiali: „temu, to i apteka śmierdzi“. Znać apteczne zapachy uważano za estetyczne.

Tymczasem oto co się dzisiaj dzieje! Panu Estreicherowi śmierdzi do tego stopnia „aptekarski ogródek“, że aż komitet mickiewiczowski na ratunek zawezwał, a jeśliśmy się temu dziwili, to dziś musimy się zastanowić wobec faktu, który nas z okolic owego ogródka zaleciał także wcale nie fiołkowym zapachem, ale raczej — dziegciem. Tempora mutantur! Zapomnieliśmy, że się i farmakologia dziś posługuje dziegciem i dyweldrekiem. Ale nie myśleliśmy, aby to miało tak dalece wpłynąć i na estetyczne pojęcia. Znać estetyka dąży w ślady za aptekarstwem. Inaczej nie możnaby sobie wytłomaczyć faktu, jak mogło zajść coś tak dziegciem pachnącego w tym samym przybytku,

gdzie n. p. między innemi prof. M. Sokołowski estetykę wykłada. Inaczej, mówiąc nawiasem, nie możnaby też wytłómaczyć sobie faktu, jak mógł p. Kościelski zatytułować „Poezyami“ zbiór takiego rodzaju utworów:

„Precz z formami! Tyś kobieta
Ja mężczyzna — kocham cię!
Wulkanicznych law podnieta
We mnie kłębi, w tobie wre“.

Albo:

„Rwała ziele — Przy kościele
Na nowiu,
I w święconą — Wodę słoną
Je kładła
Ani cała — Nie zadrżała,
Ni zbladła:
W ręku skrzypki — A głos chrypki
Z ołowiu“.

Omne trinum perfectum!

„Dzisiaj jej miłość wyznałem
Ona odrzekła: wiem o tem;
A gdy jej serca pytałem,
Odpowiedziało *stukotem*“.

Cóż robić! Zmienia się farmakologia, zmieniają się i pojęcia o pięknie i — przyzwoitości.

Kto wie, czy dr. Majer, człowiek starej daty, mówiąc w komitecie mickiewiczowskim o wpływie zbawiennym, jaki wywrzeć może na życie uniwersyteckie widok pomnika Adama przed oknami Collegium, nie myślał może o wskrzeszeniu starszych tradycyj estetyki i przyzwoitości w tych, co w tem Collegium naprzeciwko siebie zasiadać będą. My jednak, niezgadzając się w zasadzie z jego motywowaniem, i przeciw temu argumentowi mamy contrargument. Jest nim właśnie ten fakt, że przebywanie duchem z duchami dawnych mistrzów nie wiele tu może. Rzecz bowiem, o której „nie mówimy“ stała się właśnie w gmachu napełnionym echami Horacego i Sofoklesa, brzmiącym nazwami Rubensów i Rafaelów. Co więcéj, stała się ona... — ale nie, „nie mówimy“ o niej. I jedno tylko niech nam będzie wolno: opowiedzieć ku zbudowaniu kilku kolegów wypadek, który się zdarzył — także w Galicyi.

Pewien profesor zapomniawszy się, powiedział uczniom impertynencyę. Na następny wykład nie przyszła ich część znaczna. „Dlaczego dziś tak mało panów?“ zapytał profesor. „Koledzy nie przyszli, bo obrazili się“. — „A panowie się nie obrazili“. — „My nie“. — „To żegnam panów: z tymi, co się nie obrazili, nie chcę mieć nic do czynienia“. — Było to też w Galicyi, a jednak od Collegium Minus jakże daleko!...

I ty, mistrzu Adamie, bardzoż upodobałeś sobie „aptekarski ogródek“?

KORESPONDENCYE.

Z Krakowa.

Dnia 2 czerwca zawitał w mury nasze dostojny gość, męczennik sprawy narodowej, arcybiskup warszawski ks. Zygmunt Szczęsny Feliński. Ponieważ ks. Feliński przybył dzień prędzej, aniżeli było zapowiedzianem, nie było uroczystego przyjęcia na dworcu; ale wnet po rozejściu się wieści o jego przybyciu, zaczęto się krzątać około urządzenia uroczystych owacyj ku czci jego. Z kilku domów wywieszono flagi o barwach narodowych i poczęto czynić przygotowania do illuminacyi — atoli jacyś wysłannicy z magistratu kr. stoł. m. Krakowa, chodzili po domach i rzekomo z polecenia ks. arcybiskupa, nie życzącego sobie żadnych owacyj, upraszali o pozdejmowanie flag i nieilluminowanie miasta. Mimo to Czytelnia i przyległe domy, były rzęsiście oświecone; wiele jednak domów pozostało zupełnie nieoświeconych, co tylko owym wysłannikom zawdzięczyć należy.

W niedzielę d. 3 czerwca udały się liczne deputacye do pałacu biskupiego, gdzie stanął ks. Feliński, a między innymi i deputacya od młodzieży akademickiej. Po krótkiem przemówieniu, kol. prezes Pawlikowski wręczył ks. Felińskiemu adres od młodzieży. Mimo krótkiego bardzo czasu, gdyż tylko dzień jeden zbierano podpisy, zebrało się ich dość dużo, przeszło 200, a kol. Stasiak, uczeń Matejki, zrobił ozdobną tekę na adres. Słowa adresu były krótkie ale wymowne. Brzmiały one: „Kapłanowi, męczennikowi za świętą sprawę, arcybiskupowi Szczęsnemu Felińskiemu — młodzież polska“. Ks. Feliński w dłuższej przemowie podziękował za cześć, jaką mu młodzież oddała, a zachęcając ją do gorącej miłości ojczyzny i pracy około jej dobra, udzielił deputacyi swego pasterskiego błogosławieństwa.

W zeszłym tygodniu odbył się znowu w Czytelni akad. wieczorek, na którym miał wykład kol. J. Pawlikowski, a na fortepianie grał kol. Janota. Wykład miał tytuł: „Z mistycznych pism Słowackiego“. Prelegent wybrał sobie „Genezę z ducha“ za temat swobodnej całkiem gawędy. Na wstępie wytłómaczył się z obrania tego właśnie przedmiotu. Mistyka i metafizyka nie powinny być obce pozytywnemu badaniu: 1) bo tylko znając istotę błędu, sami odeń ustrzedz się potrafimy; 2) bo i błąd jest faktem pozytywnym, i bez poznania jego historyi nie zrozumiemy dziejów. Podpada on więc zarówno badaniu filozofa, jak historyka. Rozwinąwszy oba te punkta, zaznaczył, że i obłędne teorye mistyczne nie są oderwane od podstaw realnych, i one treść swą wyprowadzają z gruntu danej epoki. Tem więcej zdolne są ją charakteryzować. Po tym wstępie przechodząc do „Genezy z ducha“, objaśniał w głównych zarysach jej treść, wykazując skąd się wziąć mogły dane myśli i obrazy. A wywód ten dał mu pole do opowiedzenia zwięźle dziejów teoryi rozwoju w naukach przyrodzonych i walk jej z teoryą stworzenia, do śledzenia za teoryami o powstaniu ziemi i geologicznych epokach, o ile te teorye odźwierciadlają się w „Genezie z ducha“. Połączenie to pierwiastku piękna, w który obfituje „Geneza“, z wykładem przyrodniczym, uczyniło rzecz oryginalną i zajmującą, a tem samem pożyteczną. Na zakończenie, naszkicował prelegent, zestawiając końcowe ustępy „Genezy“ z niektóremi ustępami „Króla ducha“, w ogólnym zarysie marzenie, jakie roił Słowacki, uwikłany w błędy towianizmu, o przyszłych celach człowieka.

Z Dublan.

Otrzymujemy następujące pismo od kol. Mieczysława Pinińskiego, prezesa Tow. Bratniej Pomocy w Dublanach,

prostujące niektóre fakta, podane przez „Dublańczyka“ w artykule „Kilka uwag o oświacie ludowej“.

„...Autor tego artykułu w ustępie, gdzie mowa o wydawnictwach „Macierzy polskiej“ dla ludu, utrzymuje, iż powyższe wydawnictwa między kolegami naszymi najmniejszego uznania nie znalazły, a następnie, iż usiłowania byłego prezesa Tow. Bratniej Pomocy kol. Jentysa Stefana, około rozpowszechniania tychże, pozostały bez skutku“.

„Otóż oświadczam kategorycznie, że autor tego artykułu widocznie był źle poinformowany — bo jeżeli który z kolegów na zaproszenie do zakupna broszurek „Macierzy“ dał odpowiedź podobną do tych, które autor przytacza, stało się to przez żart niewczesny lub chwilową lekkomyślność, nigdy zaś wtedy, gdy tę rzecz traktowano na seryo. Że wydawnictwa „Macierzy polskiej“ cieszą się u nas jak najlepszem po wodzeniem, o tem świadczy dowodnie ta okoliczność, iż kol. Jentys, jako prywatny delegat komitetu „Macierzy“, około 500 egzemplarzy świeżo wyszłych broszurek między kolegami rozprzedał, nadto zaś uzyskał w drodze subskrypcyi 30 złr, za którą to kwotę odpowiednią ilość nabytych książeczek miejscowym gospodarzom rozdano. Że młodzież nasza nie jest na sprawy oświaty ludu obojętną, udowadnia chociażby ten jeden świeży fakt, że gdy podniesiono myśl założenia niższej szkoły rolniczej imienia „Jastrzębowskiego“, w celu uczczenia pamięci tego znakomitego męża, zebrano w Dublanach na ten cel między słuchaczami wyższej szkoły rolniczej przez nader krótki przeciąg czasu kwotę 150 złr...“

Mieczysław Piniński,
prezes Tow. Bratniej Pomocy w Dublanach.

Ze Lwowa.

(W sprawie wychowania kobiet).

Istnieje we Lwowie wcale znaczny (5879 uczennic, o 1598 więcej niż uczni wedle wykazu statystycz. za 1882 r.) zastęp młodzieży, o którego wychowaniu, kierunkach rozwoju i postępu mało wiemy. Są to dziewczęta.

Nie myślę śledzić źródeł tej obojętności na sprawy wykształcenia kobiety; chcę tylko ze szczupłych danych, jakie mam pod ręką, wysnuć kilka uwag o wysokości poziomu, na jakim znajdują się obecnie dorastające panny. Biorę pod uwagę Seminaryum żeńskie i pensyonaty. Z natury rzeczy — różnice są znaczne, tak co do rodzaju udzielanej nauki, jak i co do sposobu uczenia; rezultaty zatem muszą być też odmienne. Celem seminaryjnej nauki jest, obok wykształcenia ogólnego, uzdolnienie kobiety do specyalnego zawodu nauczycielki. Wielka rozmaitość studyów udzielanych powierzchownie i dość niesystematycznie, rozszerza bądź co bądź znacznie zakres pojęć tych młodych panien, które wstępują do zakładu należycie przygotowane. Niestety, łatwość wstępnego egzaminu otwiera wrota uczennicom, wcale nieuzdolnionym do zrozumienia wszystkich somatologij, psychologij i innych jeszcze „logij“, a i w ciągu studyów nie przestrzega się najczęściej, czy uczennica należycie rozumie, czy też klepie, jak papuga, wyuczoną lekcyę. Stąd, pomimo rozmaitości przedmiotów, rezultaty studyów ze względu na rozwój umysłowy nie są w większości wypadków zadowalniające. Nie mniej przeto, co się tyczy praktycznej strony wychowania, przewyższa ono pensyonarskie. Obok bowiem nauki szkolnej, w zakres której wchodzi także gimnastyka, przechodzą panny równocześnie szkołę życia, zaznajamiając się w miarę zdolności i stosunków z obowiązkami, jakie każdą kobietę czekają, a ta ciągła łączność wykształcenia szkolnego z życiem szerszem okazuje się tu czynnikiem dodatnim, wpływającym dobrze na rozszerzenie zakresu pojęć kobiety.

Tego właśnie brak wychowaniu pensyonarskiemu, a wady jego płyną ze źródła, którego znamiennym rysem: zamknięcie w ciasnem kółku wyobrażeń. Jeżelibyśmy chcieli szukać w rezultacie wychowania pensyonarskiego poważniejszego poglądu na życie, wiedzy lub poczucia obowiązków matki i obywatelki, spotkałby nas zawód pewny. Prawda, że ukończone pensyonarki, to — że użyję technicznego wyrazu — zaledwie „podlotki“, ale też i umysłem niezaprzeczenie są to miłe, sympatyczne, uśmiechnięte i szczęśliwe — „dzieci“.

Na przykład wezmę słynący jako wzorowy we Lwowie zakład pani N. Najstarsze — w VII i VIII klasie, powzięły myśl wydawania tygodnika „Gazety Sobotniej“, zawierającego dużo ciekawych rysów z tego życia. Tygodnik obejmuje 4 działy: artykuły wstępne, z naszej przeszłości, z chwili bieżącej i sprawy pensyonarskie. Naczelnym rysem jest tu fanatyczna niemal dewocya. Wielkanocne rekolekcye tworzą „epokę“ w życiu pensyonarskiem, przenoszą w stan jakiejś nieokreślonej błogości, „ryją niezatarte ślady w sercach i umysłach“ (nr. 8 „Sprawy pens.“). Znać, że to uczucie ogarnia w zupełności młode serca. Ach prawda — mówi się wiele i o Ojczyźnie, przy lada sposobności, tylko, wyznajemy, trochę za często i za wiele. Wygląda to na zdawkową monetę frazesu, skoro się nic lepszego dać nie może. W artykułach wstępnych — Ojczyzna i patryotyzm, w dziale „Z naszej przeszłości“ cały morał, wysnuty z pobieżnego życiorysu Potockiej Klaudyny: Ojczyzna nie zginie! — często nawet w sprawy pensyonarskie frazes ten włazi.

Oto zresztą cała niemal skala wyobrażeń pensyonarki. Snują się ubocznie dobre myśli o koleżeństwie, stosunku do rodziny, jednakże traktowane w tonie czułym lecz wesołym. Wiadomości obojętne np. o sławnych ludziach — dostają się do pensyonatu dopiero po ich zgonie. (Ob. „Sprawy pensyonar.“ nr. 6, gdzie mowa z Darwinie, Wagnerze i Szujskim). Jak echo z obcego świata doleci niekiedy myśl jędrna, poważniejsza, pełna treści. Znaleźliśmy jedną taką w Gazecie: jestto wiadomość o założeniu w Warszawie przez hr. Zyberg-Platerową szkoły rzemiosł, wyłącznie dla kobiet (nr. 8, w dziale „Z bieżącej chwili“ p. Frydę). Notujemy ją skwapliwie, pytając, czemu jedyna? — Obok dziecinnego zakresu pojęć kończących studya pensyonarek, obok dziwnie optymistycznego poglądu na wszystko, co pod ich zmysły podpada, nie może ujść uwagi jeden rys wybitny ich umysłowości. Nie znają miary w określeniach. Wykazaliśmy takowy w pojęciach, wskażemy jeden przykład w mowie. W nekrologu Szujskiego (nr. 6, „Z bieżącej chwili“) wszystko, co go dotyczy — wyborne lub znakomite. Był to „pierwszorzędny“ talent dramatyczny, „znakomity“ psycholog i znawca serc ludzkich, „świetny“ liryk, „mistrzowski“ tłómacz, „olbrzymi“ historyk. Nie wspominalibyśmy o tem, gdyby ta osobliwsza przesada, zastósowana do codziennych stósunków życia (a że bywa stósowana, świadczą artykuły wstępne w nrach 8 i 9), nie wytwarzała nienaturalności i pretensyonalności, szerzącej się w kołach towarzyskiego życia, którego kobieta jest sercem. Przypominają się mimowoli słowa francuskiego pedagoga: „Co do pojęć — pensyonarka jest całkiem niezapisaną kartą; świata, życia człowieka, siebie samej nie rozumie, albo rozumie w ten sposób, w jaki pojęła katechizm, gdyż katechizmu uczyła

się na pamięć, a nic w nim nie posiadało dla niej tyle wagi i powabu, jak przygotowanie do pierwszej Komunii, tego aktu odbywanego w białej muślinowej sukni". (Eug. Pelletan: „La mère").

Rezultaty takiego wychowania zadowolnić nie mogą. Społeczeństwo pragnie kobiety zdrowej, praktycznie i trzeźwo myślącej, znającej życie w jego najzwyklejszych, wcale nie poetycznych objawach, stosującej się do jego twardych warunków, a otrzymuje marzące o „kwiateczkach", „gwiazdeczkach" i „aniołkach", zatopione w modlitwie lub sentymentach — motyle, lśniące i jasne jak one, ale też jak one wiotkie i nieudolne.

NOWINY.

Uczniowie akademii górniczéj w Przybram (w Czechach) odwiedzą Kraków w ciągu swej wycieczki, i zabawią między nami dzień jeden, 29 b. m.

Stanley Jevons'a „Ekonomia polit." wyszła jako drugi tomik biblioteczki pozytywnej, wydawanej przez młodzież w Warszawie. Nie jest to rzecz bezużyteczna, aczkolwiek nie odpowiada wymaganiom chwili. Autor stoi na stanowisku szkoły manchesterskiej, a kwestya socyalna nie znajduje dostatecznego uwzględnienia. Brak ten zastąpi w naszej popularnej literaturze natomiast wydana w polskim przekładzie przez studentów Instytutu puławskiego książka prof. Iwaniukowa: „Główne zasady teoryi polityki ekonomicznej od A. Smitha do teraźniejszych czasów". Dwa te dziełka uzupełniają się poniekąd; systematyczne traktowanie przedmiotu u Jevonsa, u Iwaniukowa przedstawienie dzisiejszych prądów nauki gospodarstwa społecznego. Jednakże mogli byli wydawcy „Biblioteczki" zrobić lepszy wybór, i dać czytelnikom coś, co potrzebie dnia lepiéj odpowiada.

Na uczczenie jubileuszu Sobieskiego wydał p. Nowolecki broszurę p. t. „Jana III Sobieskiego życie i czyny oraz jego obrona Chrześciaństwa pod Wiedniem przeciw Muzułmanom 1683 roku". Cena 30 centów. Broszura ta daje dokładny pogląd na ówczesne dzieje i opatrzona jest 5ma drzeworytami. Drugie dzieło p. t. „Dziennik podróży po Europie Jana i Marka Sobieskich, spisany przez Sebestyana Gawareckiego, któremu był powierzył synów w opiekę ojciec Jakób Sobieski" — wyjdzie w połowie sierpnia. Zostanie ono wydane podług manuskryptu znajdującego się w cesarskiej bibliotece w Petersburgu. Dodaną jeszcze będzie do tego dziełka „instrukcya", jaką dał ojciec młodym Sobieskim jadącym za granicę. Cena prenumeracyjna wynosi 1 złr. 50 cent., którą można przesyłać bądź-to na nasze ręce, bądź-to do p. A. Nowoleckiego w Krakowie. Przedpłata będzie przyjmowaną najdaléj do 15 lipca (można ją złożyć od razu lub w dwóch równych ratach) a przy końcu lipca zostanie rozpoczęty druk w takiej tylko liczbie egzemplarzy, w jakiej do oznaczonego terminu (15go lipca) zamówione będą.

Prof. Jaeger cieszy się widocznie wielką liczbą zwolenników między synami Germanii, gdyż powstał już osobny sklep w Monachium, który sprzedaje ubrania robione tylko podług przepisów profesora

Na Politechnice lwowskiej przyszło między studentami a prof. Bizancem do zajścia, spowodowanego nieprzyzwoitem obejściem się profesora. Rektor Politechniki załagodził sprawę, przepraszając uczniów za profesora, w jego przytomności. Ten sam profesor raz już wywołał był podobną awanturę, która skończyła się nawet zamknięciem wykładów na jednym kursie i nowem otwarciem wpisów.

Uczniowie szkoły Dublańskiej odbyli w celach naukowych wycieczkę z swymi profesorami, a dnia 8 b. m. urządziło dla nich w Tarnowie tameczne Kółko rolnicze wieczorek w sali ogrodu miejskiego, przyczem nie obyło się podczas uczty bez licznych toastów. Za młodzież przemawiał kol. A. Głodziński.

Towarzystwo historyczno-literackie ogłosiło konkurs na temat: „Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładnie znanych sejmów (1543) aż do zagęszczającej się praktyki *liberi veto* w wieku XVII". Nagroda wynosi 1800 franków.

W Stanisławowie zaczęło wychodzić pismo dla dzieci: „Światełko".

W Petersburgu w instytucie inżynierów dróg i mostów ukończyło r. b. kurs nauk 22 Polaków (przeszło 24% ogólnej liczby kończących), a w instytucie górniczym 6 Polaków (27% ogólnej liczby kończących).

Młodzież akademicka lwowska, celem uroczystego obchodu 200-letniej rocznicy odsieczy Wiednia, postanowiła urządzić towarzyską wycieczkę do Podhorzec. Wycieczka odbędzie się w niedzielę d. 17 czerwca.

Dla kol. wioślarzy! — Nakładem Tow. wioślarskiego w Warszawie wyszedł podręcznik dla wioślarzy p. t. „Łódź i wiosło".

„Der Bukarester Salon" — pod tym tytułem wychodzić zaczęło w maju, nakładem W. Friedricha w Lipsku, pismo miesięczne, zajmujące się sprawami rumuńskiemi, zwłaszcza ruchem literackim. (Abonament kwartalny — 9 marek).

Rózga ma być na nowo wprowadzoną do szkół w Rosyi. Rzecz ta rozbieraną była w Radzie Państwa, gdzie wnosił ją minister oświaty Delianow, a najgorliwiej popierali Nabokow (min. sprawiedliwości), Tołstoj i Pobiedonoscew. Przeciwnymi mieli być Bunge i Giers. Z sankcyonowaniem ustawy wstrzymano się. — Rózga zniesioną była przed 20 laty, w epoce manii liberalnej Aleksandra II.

P. Lenartowicz, mimo odmowy ze strony włoskiego rządu zasiłku 2000 franków dla katedry literatury polskiej, został wezwany przez uniwersytet boloński i zarząd akademii do dalszego prowadzenia wykładów, i przez kwiecień i maj po dwa razy tygodniowo wykładał. W dotychczasowych kilkunastu odczytach mówił o pieśniach ludowych serbskich, rossyjskich, czeskich i polskich, o pierwszych prawach pisanych, zakonniku Duszana, ruskiej prawdzie, statucie wiślickim, w końcu o znaczeniu rękopisu królodworskiego, słowo o pułku Igora i pieśni Boga-Rodzicy. Na wszystkie odczyty uczęszcza licznie młodzież i publiczność. Król na wniosek władzy uniwersyteckiej obdarzył prelegenta orderem korony włoskiej. Oprócz tego wykłada również na uniwersytecie bolońskim polka p. Ogonowska język polski i rosyjski, 4 razy na tydzień.

Na wyższych kursach żeńskich imienia Bestiużewa-Riumina (w Petersburgu) otrzymały dyplomy z ukończonego całego kursu nauk następujące Polki: Na przyrodniczym wydziale: Henryetta Zagórska, Filomena Undrewicz, Justyna Strzemska, Stanisława Suszczewska, Zofia z Rybińskich Wojciechowska, z Telszewskich Gordziałkowska, Segatowska, Józefa Czarnowska, Somicz; na matematycznym wydziale: Jakóbina Grużewska; na literackim wydziale: Janina Bagnicka, Marya Morzycka, Witolda Karpowicz, Ewelina Poźniak.

NOWE KSIĄŻKI.

Prof. A. Riehl: Ueber wissenschaftliche und nichtwissenschaftliche Philosophie. Akad. Antrittsrede. — Freiburg und Tübingen. 1883.

J. Lippert: Allgm. Geschichte des Priesterthums. Wychodzi zeszytami w Berlinie. (Th. Hofmann).

J. Bramsen: Zur Ethnologie der Litauen. Dorpat. 1883. — 1 mark.

Frh. v. Goltz: Das Volk in Waffen. Ein Buch über Heerwesen und Kriegführung unserer Zeit. Berlin. (Duncker). 1883. — 7·50 mrk.

Eduard Engel: Gesch. der französischen Litteratur. Leipzig. (Friedrich). — 7·50 mrk.

C. M. Sauer: Gesch. der italienischen Litteratur. Leipzig. (Friedrich). — 9 mrk.

Th. Ribot: Les maladies do la volonté. Paris. — 2·50 fr.

Hermann Wolff: Logik und Sprachphilosophie. Eine Kritik des Verstandes. 2 Ausgabe. Leipzig.

Fr. v. Hellwald: Kulturgeschichte in ihrer natürlichen Entwicklung bis zur Gegenwart. 3 Aufl. Wychodzi zeszytami po cenie 1 marki, w Augsburgu. (Lampart und Komp.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Dr. Jan Jodłowski.** — Drukarnia Związkowa w Krakowie. Zarządca A. Szyjewski.